

1. – Niczegoj się nie bój, leż cicho. Ja jestem Danusia Kowalówka z Dobrzyńca, to jest czternaście kilometrów od Otwocka. Tata jest kowal, u nas w kuźni jest sekator. Tu u kuma jest rower, za godzinę, najdalej półtora będę z powrotem, przywiozę narzędzia, poprzecinamy te druty. Ja cię zabiorę. Leż tu tylko cichutko i czekaj na mnie!

– Danusiu! Danusiu! – powiedziałam – ale co będzie, jeśli twoi rodzice nie pozwolą? A czy ty wiesz, że jak nas złapią, to i ciebie czeka śmierć?

– O wa, też mi co Niemcy! Ja ich wszystkich z Hitlerem mam gdzieś!

Żołnierz nadchodził, patrząc nie wiadomo dlaczego na czuby drzew. (O! ten Reżyser niewidoczny, niewidzialny, wszechmocny Reżyser!)

I znowu leżałam w zielonym gąszczu akacji, ale już było inaczej.

Janko!... Gdybym ci teraz chciała wmówić, że cały czas oczekiwania na jej powrót wierzyłam bezwzględnie, że na pewno przyjdzie, byłoby to nie- prawdą. Wierzyłam i nie wierzyłam. Wierzyłam i wątpiłam... Leżałam tak

jedną... dwie godziny... a słońce wędrowało coraz wyżej. Zrywałam gałęzi, obrywałam listeczki: „wróci, nie wróci”... Strzały były coraz bliższe, niedaleko przechodzili esesmani, wśród zieleni czerwieniły się swastyki. „Wróci, nie wróci...”

W pewnej chwili usłyszałam ciche gwizdanie od strony szosy. Uniosłam głowę i w tym samym miejscu zobaczyłam Danusię. Położyła palec na ustach, bo wartownik był blisko. Musiałyśmy przywarować. Nieruchomo po obu stronach zasieków leżałyśmy bez oddechu... Serce znowu waliło na alarm...

Nagle poczułam, że mi na głowę spada coś miękkiego. Była to czerwona chustka w zielone kwiaty. Mam tę chustkę tutaj, czy chcesz, żebym ci ją pokazała?

Potem szeptała Danusi:

– Zrzuć tę żydowską opaskę, zakop ją w ziemi, nadzieję chustkę na głowę. Palcami zrobiłam dołek, zwinęłam opaskę, wsadziłam w ziemię, przysypałam ziemią... Takie proste... takie proste... już nie jestem napiętnowana! Żołnierz, znudzony, powoli szedł w stronę kolegi. Teraz spadły obcęgi.

Danusia po przeciwnej stronie cięła sekatorem druty.

2. Danusia się śmiała. Miała okrągłe wesołe oczy, piegi koło nosa, kasztanowate włosy i najmiłszy pyszczek na świecie.

– Wyglądasz jak domowego wypieku chlebek! – powiedziałam, całując ją w policzek, a ona objęła mnie za szyję.

– A ty jesteś moja znajda!

– Ale co będzie ze „znajdą” dalej?

– Co ma być? Ojciec i mama przykazali cię do chałupy przyprowadzić,

ale poczekamy do zmierzchu, a wejdziemy nie od kuźni, ale bokiem przez chlewik. Co będzie dalej? Tata powie, nie bój się! Tata już wszystko dobrze obmyśli.

Świadomość, że ktoś za mnie będzie myślał, przyprawiała o zawrót głowy. Jakaś beztroska radość chwili, radość bez sensu odjęła mi rozum. Danusia śpiewała:

– „Wedle mego ogródeczka rozkwitała jabłoneczka...” – i ja śpiewać zaczęłam. Szłyśmy przez las, ja z koszem, Danusia prowadziła rower i obie darłyśmy się jak opętane:

– „Kaczki za wodą, gęsi za wodą... Ty mnie nie wydasz, ja cię nie wydam...”. Liliowiły się wrzosa, słońce różowiło sosny. Skąd ja się tu wzięłam? Jakim prawem wdarłam się w radość życia boru? Ja – zbieg z transportów, przeznaczonych do gazowych komór...

3. Widzisz, moja matka, Nepomucyna Czajka z Miastkowa, gospodynią była we dworze u hrabiów Dernałowiczów. Gorącej krwi kobiecina i w chłopach gustowała, i tak się w tych romansach rozsmakowała, że co z jakimś zaczęła, to buch – nowe dziecko na świat! A jedną też dziewczuchę miała, Stefkę. Ta Stefania ochrzczona w parafii w Mińsku Mazowieckim. Weź, Danusia, rower i już cię nie ma! Dwa złote dasz i mentryke z parafii przywieziesz – i tak siostra Stefania nieczytelna jest, na Pradze w Warszawie mieszka, a my tu drugą, niby tę samą Stefanię będziemy mieć, i z tego będzie, że siostra moja rodzona jest, a z innego ojca. Potem do gminy pójdziesz z Danusią i na tę mentryke kenkartę ci wydać muszą. Ta Stefka chyba sześć, osiem lat od ciebie starsza będzie, ale to ci tylko się nada.

Patrz, Janko! Tu jest moja kenkarta! Czytaj: Stefania Czajka z matki Nepomucyny Czajki, ojca nieznanego... **W ten sposób narodziła się Czajka, która ci opowiada historię swego ocalenia..**

4. Przez uchyloną szparę drzwi zobaczyłam oko Danusi.

– No, obudziłaś się nareszcie!

Dostałam talerz zacierek z kartoflami, chleb grubo posmarowany masłem

i kubek gorącego mleka. Danusia przysiadła na łóżku.

– Ty jesteś moja znajda, ja się będę o ciebie markocić. Wiesz, nacieszyć

się tobą nie mogę, nie mogę się na ciebie napatrzeć. Ojciec mówi, że ty ślachetną masz twarz i całą osobę. Może ty jesteś królowna? Może ty niezwykajna naszego jedzenia?

– O, Danusiu, Danusiu... Jestem zwyczajna liście z drzewa jeść i obierzyny z kartofli.

Ale Danusia nie mogła uwierzyć. Palcem dotykała brwi, znamienia na policzku, zaglądała mi w usta, sprawdzała, jakie mam zęby. Rozczulała się nad moimi siwymi włosami. Wreszcie zdecydowała, że powinnam wstać, a myć się i ubierać będę w komorze: – ...bo może sąsiadka zajrzeć do kuchni albo który chłop z czworaków, dziwno by mu było, że o tej porze ktosik wstaje. Ojciec już w kuźni rozpowiada od rana, że rodzina z Warszawy przyjechała. Ty się niczym od nas nie możesz wyróżniać – tak tata przykazał.

Bardzo uważnie przyglądałam i przysłuchiwałam się wszystkiemu, jak co robią i jak mówią – przecież musiałam być taka sama jak oni, a z każdą chwilą wydawało mi się to trudniejsze. Ze smutkiem skonstatowałam, że byłam jakaś inna od nich, ale to nie była różnica odrębności rasowej, to była raczej odrębność środowiska, w którym wyrosłam, a może odmienne wychowanie.

Przeklinałam tę „kulturę”, która mi teraz przeszkadzała na każdym kroku, i postanowiłam ją zniwelować.

Ubrana w fartuch kowalowej, w chustce na głowie, boso, poszłam z Danusią po zielsko dla krowy. Szłyśmy miedzą wśród kartoflisk, za nami biegł Ciapek, który od pierwszego wejrzenia zaprzyjaźnił się ze mną.

– Czy ty rozumiesz, dziewczyno, coś mi dała? – zapytałam się Danusi. – I życie, i świat, i niebo, i wiarę w człowieka...

– No, już nie powtarzaj mi w kółko tego samego, powiedz lepiej, czy nie wiesz, co trzeba zrobić, żebym te piegi zgubiła?

5. Przyszło kopanie kartofli. Dwa dni kopałam pod bokiem Danki, a że wyprostować się potem nie mogłam, to zostawałam w domu, aby gotować obiady, a na moje miejsce Rozyna szła w pole. Często gęsto trzeba było „wojtka” kręcić, to jest przy miechu robić w kuźni – z tym sobie też z czasem radziłam. Przywykłam i coraz goręcej Ignęłam do nowej rodziny.

6. Kiedyś dawniej już Danusia zauważyła, że w zeszycie, przysłanym mi przez Jerzego z Warszawy, ołówkiem coś bazgrę. Zaciekawilo ją to.

– Znajda, przeczytaj mi, coś tam napisała!

Zwierzyłam się jej, że piszę wiersze, i przeczytałam wiersz pt. W kowalowej chacie. Danusia zaczerwieniła się z radości, orzekła, że to piękniejsze od Powrotu taty z wypisów i wieczorem dzieło moje zostało odczytane całej rodzinie. Rozyna się zdumiała.

– Kto by to pomyślał, jak ona te słówka ułożyła, że to się tak zgadza do słuchu. Jaka to zmyślna robotka!

7. Wieczorem poszłam sama do dworu. Ze ściśniętym sercem, dygocąc ze wstydu i strachu, stanęłam przed obliczem jaśnie dziedzica. Wysłuchał moich tłumaczeń, ale nie trafiłam mu do przekonania ani do serca.

– Ja pani na pewno nie wydam, ale radzę jak najprędzej poszukać sobie innego schronienia. Tutaj pani zostać nie może. Służba już coś przebąkuje, sprowadzi pani śmierć na siebie i na innych ludzi.

Wróciłam do chałupy. Wszyscy milczeli ze spuszczonej oczyma. Wresz- cie Rozyna zapytała:

– No i co powiedział?

– Mam stąd odejść...

Trzeba było zrobić tłumoczek, trzewiki oczyścić. Zapakowałam tych trochę łańców, co mi Danusia z Warszawy przywiozła. Z rąk mi leciało wszystko. W końcu bezradnie usiadłam na ławie. W pasku, który leżał wśród rzeczy Danusi nienaruszony, poczułam coś twardego. Przypomniało mi się. To w getcie jeszcze zaszyłam tam sznurek granatków z krzyżykiem od mojej matki i naszyjnik z czternastoma diamentami po babci.

– Mili moi, zostawiam wam pamiątkę po sobie. Te granaty dla Rozyny, a naszyjnik niech nosi Danusia...

Jakoś i te prezenty nie poprawiły humorów. Nie patrzyliśmy sobie w oczy. Chciałam odejść dopiero przed świtem, żeby nikt ze wsi nie wiedział, kiedy i jak odchodzę.

W pewnej chwili doszedł nas jakiś cichy płacz od pieca. Danusia skomlała jak zwierzę, aż nareszcie wybuchnęła głośnym rykiem:

– Nie puszcę jej w świat samej! Bidota moja, znajda nieszczęsna! I gdzie się ona obróci? Kto pójdzie do pana Jerzego, jak mnie przy niej nie będzie? W dwadzieścia cztery godziny złapią ją Niemcy! Tata, mama! Ja chcę z nią iść. Nijak jej w tej nędzy, w tej niedoli ostawić nie mogę! Poczieszna to ona jest, ale przecież rozumu nijakiego nie ma i jak ona się ostanie przed podstępem ludzkim?!

8. W czternastu miejscach gestapo jednocześnie się zleciało, a co narodu pogubili, aże strach pomyśleć”. A gdzie? – niby to spokojnie pytam, niby z takiej zwykłej ciekawości. A jak zacnie mi wyliczać, to pot mi na czoło wyszedł, no i trzasło... na Szerokiej byli, naprzeciwko Ojców Jezuitów... Już dalej nie słuchałam, poniosło mnie, nie biegłam, a fruwałam. Już widziałam tę twoją główkę na śniegu, już widziałam te twoje ciemne oczka zaszklone... – I Danusia, klęcząc przede mną, obejmowała mnie pod kolana, zanosząc się od płaczu, i ja też z miejsca się rozplakałam. Buczałyśmy chyba godzinę, a wszystko nad moimi zwłokami leżącymi w rowie.

Przytuliliśmy się do siebie; ciężko było się rozstawać... ale skąd tyle pieniędzy wziąć, żeby i za nią sto złotych dziennie płacić?

W izdebce mrok coraz gęstszy; siedziałyśmy na łóżku, nie rozpoznając już swoich twarzy. Myśl o jutrze napelniała nas niepokojem i smutkiem. Ale już rozumiałam, że jeśli nawet cały świat jest obcy i wrogi, a jeden człowiek poda rękę, to można wytrzymać.

W pewnej chwili Danusia przerwała ciszę.

– Słuchaj, a gdybym ja się do niej zgodziła na służącą?... Gotować nie potrafię, ale sprzątać, zmywać, odkurzać... przecieżbym dała radę... Niech mi nie płaci ani grosza, byleby tylko jeść dała.

– Danusiu, Danusiu... i poszłabyś na służbę?

– Co to za służba! Chcę być z tobą. Nie jestem ja twój Sancho Pansa? Ile to razy po przebudzeniu w tym pokoiku wołałaś: „Sancho Pansa, siodłaj mi rumaka... czarownik Merlin czeka na polanie leśnej, muszę się z nim poje- dynkować”. Czy Sancho Pansa opuści Don Kichota?

I śmiać mi się chciało, i płakać – ale płakać chyba więcej.

– Moja ty najmilsza, najwierniejsza na świecie dziewczyno! Dobrze, spróbujemy; przypuszczam, że na takich warunkach każda pani się zgodzi.

9. Powiedział, że na strychu byłoby bezpiecznie, że jedna z nas, pokazał palcem Danusię, mogłaby schodzić i przynosić tej drugiej jedzenie, ale że nie ma prawa sam decydować, bo sprawy domu należą do jego żony. Żona jeszcze nieubrana, ale jak się ubierze, zaraz przyjdzie.

No i w końcu przyszła. Niewysoka, z biustem nad wyraz obfitym, pewna siebie, arogancka i wyniosła. Danusia takie damy nazywała „paniusiusiami”. Nos miała jak guzik, a z tyłu na głowie koczek bardzo rzadkich włosów.

– Nazwisko pani? dokumenty? – bez wstępów zwróciła się do mnie. Oczy jej jak oczy węża boa dusiciela były zimne, pozbawione cienia ludzkości.

Drżącymi rękoma położyłam przed nią kenkartę na nazwisko Stefania Czajka i właśnie w tej chwili zdarzyła się straszliwa katastrofa. Ochryplym głosem przedstawiłam się:

– Jestem Marianna Wyderka...

Guzik zamiast nosa wielmożnej pani Różyckiej czmychnął na prawo.

– Co? Co? Stefania Czajka nazywa się Marianna Wyderka?! Dosyc tych

głupstw! Jesteś Żydówką, uciekłaś od śmierci – wstydz się! A to głupi kłam- czuch! Czajka – Wyderka! Wynosić mi się w tej chwili!...

Szłyśmy do drzwi. Danusia na progu się odwróciła.

– Żebyś pękła, pokrako! Widzisz ją – wstydz się – uciekła od śmierci – paniususia!...

Deszcz lał jak z cebra. Nie było w lesie miejsca względnie suchego, wszystko stało pod wodą. Zaszyliśmy się w jałowce, usiadłyśmy w wodzie. Nagle obie parsknęłyśmy niepoohamowanym śmiechem.

– Co ci z tą Wyderką, idiotko, do głowy przyszło? Myślałam, że się udławię ze śmiechu, jakieś to naprędce wymyśliła!

Marianna Wyderka! Rzeczywiście, co za nonsens! I skąd mi ten przeklęty język takie głupstwa paplał? Naprawdę nie wiem skąd.

– Pewnikiem dlatego, że wydra też nad wodą jak i czajka mieszkanie mieć lubi i to ci się we łbie pokiełbało. No, ale już się stało! Coś innego trzeba wymyślić. Idziemy do Dobrzyńca, do ojca. On ma pomysłu i porychtowanie. Wracamy!

10. W tej samej chwili reflektor ode drzwi... tupot butów, szczęk broni, wchodzi ich tyłu... już stoją nade mną, rewolwerem dotykają mi skroni. Jest dwóch oficerów gestapo, za nimi jeden w czarnym

mundurze, przy drzwiach zandarmi... i ten jeden cywil w palcie i kapeluszu miękkim, ma szyję owiniętą w brązowy szal z wielbłądziej wełny. Teraz jeszcze widzę jego twarz... małe, jakby świńskie oczka i zupełny zanik podbródka. Najkomiczniejsze, że pomyślałam: – To jest dziecko syfilityka – kiedyś czytałam, że ludzie o zaniku podbródka są potomkami dotkniętych tą chorobą.

– Wer sind sie?¹¹

Nie mogłam wydobyć z krtani głosu. Po prostu z ordynarnego, potwornego strachu straciłam głos. Niemiec myślał, że nie rozumiem po niemiecku.

– Übersetzen! – wrzasnął na potomka syfilityka, tajniaka bez brody.

– Kto jest? – przetłumaczył agent.

Kim jestem?... Boże, wielki Boże... gdybym mogła stać się prawdziwą czajką... byłabym ptakiem, nikt by nie mógł posądzać o żydostwo. Pofrunęłabym, schowała się w krzakach...

Oszalała z przerażenia, na wpół obłąkana, jakimś piskliwym głosem za- skrzeczałam:

– Jestem czajka, ptak wodny.

– Was sagt sie? – zwrócił się Niemiec do tajniaka.

– Sie sagt, dass sie ein Wasservogel ist – przetłumaczył.

– Was, ein Wasservogel?! – Niemiec jeszcze bliżej przysunął rewolwer

do mojej skroni. Poczułam chłód stali i zrozumiałam, że to już koniec. Nie mogę sobie teraz uprzytomnić, co właściwie ze mną się działo. Widocznie zadręczona przerażeniem straciłam rozum, a będąc pewna, że mnie już zabijają, modliłam się. Pierwsze słowa nie zdołały wyjść mi przez gardło, bo miałam jakby sparaliżowaną krtani... To dotknięcie zimnej lufy rewolweru pograżyło mnie w odmęt kompletnego wypierzenia się mózgu.

11. Nade mną stał wilk... pies esesmanów – wspaniałe, mocne zwierzę brązowopłowe, z czarną głową, sterczącymi uszami. Jasnymi, jarzącymi się ślepiami wpatrywał się we mnie...

Co za dziwaczne myśli przychodzą człowiekowi do głowy w chwilach obłędnej grozy! Nagle przypomniałam sobie historyjkę z wypisów szkolnych na klasę pierwszą. Dwóch wieśniaków wraca w nocy do swojej wsi i na drodze spotykają niedźwiedzia. Kładą się i udają nieboszczyków. Niedźwiedź zdegustowany odchodzi do lasu... Przypomnienie to było olśnieniem. Postanowiłam udawać nieboszczyka. Pies nie wierzył widocznie, że to są zwłoki, przybliżył łeb do mojej twarzy. Zamarłam z przerażenia! Zagryzie mnie czy zacznie szczekać i sprowadzi swoich panów!... Otworzyłam oczy, a pies się nasrożył, sierść zjeżyła mu się na karku!... Leżałam bez ruchu, bez drgnienia... Patrzyliśmy sobie w oczy... No tak! patrzyliśmy sobie w oczy! Miał brązowe z czarną obwódka, jarzące się i piękne. Było milczenie i wzrok... Znowu nos zaczął mu się marszczyć, kły błysnęły – i znowu patrzyliśmy...

„Na lwa srogię bez obrazy siędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz...”

Przysunął się bliżej. Łapa jego uwierała mi lewą pierś. Czułam jego ciężar na sobie... Teraz przegryzie mi gardło!... Nie odrywałam oczu od jego ślepiów.

Znów się najeżył, cicho warknął, i znów patrzyliśmy sobie w oczy. Nagle postrzygł uszami, skoczył w gąszcz – i już go nie było.

Nie wiedziałam, czy wróci ze swymi panami, czy zachowa tajemnicę naszego spotkania. Nie wiedziałam, czy zostać na legowisku, czy skoczyć do wody, czy przenieść się na inne miejsce?... Było tak cicho wokoło, czułam się tak zgubiona, słaba, a przede wszystkim zziębnięta, iż zostałam na miejscu.

Leżałam dalej, czas stanął. Trwałam w jakiś niepojęty bliżej sposób poprzez lodowe wieki nocy, trwogi i obłędu... Janko! Trwam w tym po dzień dzisiejszy, teraz, kiedy mówię do ciebie te słowa, jestem tam! To było i jest we mnie...